TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.

Do Europy, Meksyku, Ameryki Połudnlowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE ..IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 20. Chicago, Ill., Czwartek, 19-go Maja, 1898. Rok XII.

Książe Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Wejdź Łukjanyczu — powiedział łagodnie car — z jaką nowiną Bóg przysłał?

Maluta przeszedł próg i spojrzawszy na cara zaczął się żegnać przed obrazem.

— Zkąd przybyłeś? — spytał Jan, jak gdyby zupełnie go nie oczekiwał. Ale Maluta nie spieszył z odpowiedzią; oddał wprzódy nizki ukłon carowi, a potem podszedł do igumena.

— Błogosław ojcze — rzekł, schylając się, i przez ten czas spojrzał z podełba na Basmanowa, który drgnął, jakby przeczuwał coś niedobrego.

Jan mrugnął nieznacznie na Skuratowa.

— Zkąd przychodzisz? - powtórzył.

— Z więzienia, carze, rozmawiałem z czarownikiem.

— No, i cóż? — spytał car, rzuciwszy bystre spojrzenie na Basmanowa.

— A ciągle mruczy — nie można zrozumieć. To tylkośmy zrozumieli, gdy mu się kolana trochę wyciągnęło: "Wiaziemskij nie jeden jeździ do młyna, ale i Fedko Basmanow, i korzeń wziął odemnie; a korzeń on nosi teraz na szyi.

Maluta znów spojrzał z ukosa na Basmanowa. Ów zmienił się na twarzy. Hardość wnet mu znikła.

— Carze — rzekł, czyniąc niezwykły wysiłek by okazać się spokojnym — widać, że naumyślnie tak gada na mnie, bom go wydał przed twą carską miłością.

Maluta mówił dalej:

— A jakeśmy zaczęli przypalać mu stopy, to się przyznał, że korzeń dla tego był potrzebny Basmanowowi, żeby zrujnował twe carskie zdrowie.

Jan przenikliwie spojrzał na Basmanowa, a ten aż się zawahał od takiego wzroku.

— Batiuszka, car — powiedział — czy wierzysz temu, co młynarz mówi? Gdybym się z nim znał, czyżbym go wydawał?

— A no, zobaczymy. Odepnij kaftan, pokaż, co tam masz na szyjce!

— A cóż, oprócz krzyża i szkaplerzy? — mówił Basmanow głosem, który stracił już wszelką pewność.

— Rozepnij kaftan! — powtórzył Iwan Wasiliewicz.

Basmanow, chcąc nie chcąc, musiał usłuchać.

To mam na szyi — rzekł, i podał Janowi łańcuszek z krzyżykiem.

Lecz car prócz łańcuszka, dostrzegł na szyi Basmanowa także jedwabną plecionkę.

— A to co? — spytał i odpiął sam bursztynową spinkę jego kołnierza, i wyciągnął z za koszuli sznureczek z amuletem.

Basmanow uczynił ostatni rozpaczliwy wysiłek i wymówił: — to carze... matczyne błogosławieństwo.

— Zobaczmyż to błogosławieństwo.

Jan dał amulet w ręce Griaznemu:

— Rozpruj to!

Griaznoj nożem rozciął woreczek, wydostał zeń kawałek szmaty, z której coś się posypało na stół.

— No, a to co? — spytał car.

Tu wszyscy z ciekawością nachylili się do stołu, i ujrzeli jakieś korzonki, pomieszane z kośćmi żabiemi.

Igumen zrobił znak krzyża św.

Iwan Wasiliewicz spytał z uśmiechem:

— Tem cię matka błogosławiła?

Basmanow padł na kolana.

— Przebacz, carze, chłopowi twemu — krzyknął w strachu — widząc, jako się odwróciło twe serce odemnie, pierś mi z bólu pękała, i by znów wpaść w dawne łaski, poprosiłem młynarza o ten kamień. To tyrlicz, carze. Młynarz mi go dał, żebyś znów polubił twego chłopa. A nic na ciebie nie knułem. Bóg świadkiem!

Jan cieszył się z rozpaczy Basmanowa, bo hardość dworaka już mu się dawno naprzykrzyła.

— A kości żabie? — pytał.

— O kościach, carze, dalibóg nic nie wiedziałem.

Iwan Wasiliewicz zwrócił się do Maluty.

— Co młynarz powiedział? Fedka jeździł do niego, żeby mnie oczarować?

— Tak carze.

I Maluta skrzywił usta, chcąc się ucieszyć z nieszczęścia swego dawnego przeciwnika.

— No cóż, Fediuszko — znów zaczął car z uśmiechem — trzeba i ciebie oko w oko z młynarzem postawić. Jego już wypytywali; skosztujno ty teraz trochę tortur, bo uważasz — mogą powiedzieć, że car tylko z bojarami ma do czynienia, a swoich opryczników oszczędza.

Basmanow padł Iwanowi do nóg.

— Słonko ty moje piękne! — krzyczał, chwytając poły carskiego płaszcza — sokoliku jasny ty mój, nie trać mnie, słonko moje! księżycu ty mój! sokoliku, gronostajku! Przypomnij sobie, jakem ci służył! jak zawsze posłusznym byłem twej woli!

Jan się odwrócił.

Basmanow w rozpaczy rzucił się do swego ojca i zaczął lamentować:

— Batiuszka, uproś cara, niech daruje życie chłopowi swemu! Niech zamiast kaftana opryczniekiego, włoży na mnie błazeńskie ubranie! Rad będę służył jego carskiej miłości błaznem.

Obcem było wszelkie ojcowskie uczucie dla Aleksieja Rasmanowa. Bał się przestawiennictwo za synem, na siebie ściągnąć gniew carski.

Odepchnął Fedora i zawołał:

— Precz podlecu! precz! bezbożniku! Nie moim jest synem — kto przeciw carowi! Idź, gdzie cię pośle jego carska miłość.

— Święty ojcze! — krzyczał rozpaczliwie Basmanow, pełzając na klęczkach do igumena — święty ojcze, przebłagaj za mnie cara!

Ale zakonnik stał jak nie swój; ocząt utkwił w ziemię i drżał na całem ciele.

— Zostaw ojca przełożonego — powie

dział Jan chłodno — jeśli okaże się potrzeba, odprawi potem za ciebie nabożeństwo żałobne.

Basmanow rzucił do koła błędnem błagalnem okiem, lecz wszędzie napotkał nieprzyjazne lub przerażone twarze.

Wtedy w sercu zawrzała mu burza.

Wiedział, że nie uniknie tortur i że nie ma już nic do stracenia. Wnet mu więc powróciła dawna harda stanowczość.

Wstał, wyprostował się, założył rękę za pas i spojrzał z uśmiechem na Jana.

— Carze wielki prawosławny — rzekł, trząsnąwszy głową, by poprawić swych rostrzepanych włosów — tak carze! z twego rozkazu idę na śmierć i męki. Niechże ci złożę ostatnie podziękowanie za twoje łaski! Nie knułem nic przeciwko tobie, lecz grzechy nasza są jednakie. Jak mnie poprowadzą kaci, powiem je wszystko, co do jednego przed narodem! A ty bracie, zakonniku, słuchaj teraz mojej spowiedzi.

Oprycznicy i sam Aleksy Basmanow nie dali mu mówić. Wypchnęli za drzwi, Maluta go związał, na konia posadził i do Słobody zawiózł.

Jan się odezwał:

— Widzisz, ojcze, iloma otoczon jestem jawnymi i skrytymi wrogi. Módl się za mnie do Boga, by mi pozwolił ukończyć wielkie dzieło moje na tym świecie, by mnie grzesznikowi błogosławił, i do końca dał wyplenić zdradę.

Car wstał i przeżegnawszy się przed obrazami, podszedł do zakonnika po błogosławieństwo.

Igumen i wszyszy braciszkowie w strachu odprowadzili Jana do furty; tam czekali carscy słudzy z bogato ubranemi końmi. I choć zniknął car w obłokach kurzu, zakonnicy długo stali jeszcze z spuszczonemi oczyma, nie śmiąc podnieść głowy.

XXXIV.

Kaftan Błazeński.

Tego samego poranku przyszli dwaj kamerdynerzy do Morozowa, który się został w Słobodzie z rozkazu Jana, prosić go do carskiego stołu.

Gdy Drużyna Andrejewicz przybył do dworca, sale już były przepełnione oprycznikami, stoły nakryte a słudzy w pysznych ubiorach szykowali zakąski.

Morozow zauważył, że prócz niego, nie ma ni jednego bojarzyna: znaczy, car wyświadcza mu szczególną łaskę.

Jęknęły dzwony i trąby i Iwan Wasilewicz o szczerej, uśmiechniętej twarzy wszedł do sali w towarzystwie: czudawskiego archymandryty Leontija, Wasilja Griaznego, Aleksieja Basmanowa, Borysa Godunowa i Maluty Skuratowa.

Odkłonił się zebraniu, siadł przy swojem nakryciu, i wszyscy przy jego stole zajęli miejsca według godności. Jedno tylko pozostało nie zajęte — poniżej Godunowa.

— Siadaj, bojarze Drużyno — rzekł uprzejmie car, ukazując wolne miejsce.

Amarantową się stała w jednej chwili twarz Morozowa.

— Carze — odpowiedział — jakim Morozow był przez całe życie, takim pozostanie do samej śmierci. Stary jestem carze, żebym przejmował nowe obyczaje. Nałóż znowu na mnie opałę, przepędź z oczów twoich, a niżej od Godunowa nie siądę.

Wszyscy w zdziwieniu spojrzeli po sobie.

Ale car, zdawało się, oczekiwał tej odpowiedzi. Pozostał spokojnym.

Zwrócił się tylko do Godunowa i rzekł:

— Borysie, dwa lata temu za te same słowa wydałem ci Morozowa głowę. Ale widać, muszę zmienić swoje obyczaje. Widać, że nie bojarzy powinni nas słuchać, tylko my ich. Pewnie już nie jestem gospodarzem w swoim domku. Muszę, pono, nieboraczek, zebrać swoje manatki i uciec ztąd jak najdalej. Wępędzą mnie ztąd przechodniego wędrowca ubogiego, jak z Moskwy wypędzili.

Godunow chciał przyjść w pomoc Morozowowi i z uszanowaniem się odezwał:

— Carze, nie my będziemy wybierali dla siebie miejsca, ale zostaniemy posłusznymi twej woli. Starzy ludzie ściśle przestrzegają starych obyczajów, nie miej przeto za złe bojarzynowi, bo stary. Jeżeli dozwolisz, carze, ja siądę za Morozowem. Przy

twym stole każde miejsce jest dobre.

I chciał wstać, lecz Jan powstrzymał go wzrokiem.

— Bojarzyn, oczywiście, starym jest — odrzekł z zimną krwią.

Spokój ten był nienaturalnym, jeżeli weźmiemy na uwagę nieposłuszeństwo bojarzyna. Wszyscy przeczuwali, że się zanosi na coś niezwykłego; nie można jednak było odgadnąć, w jaki sposób objawi się gniew carski. A wydawały go blade konwulsyjne drgania twarzy, podobne do migotania oddalonej błyskawicy.

Wszyscy tłumili oddech, niby przed zbliżającą się burzą.

Jan mówił dalej spokojnie:

— Tak, prawda, bojar jest stary, ale rozum ma młody, nie stosownie do wieku. Lubi też bardzo żartować! I ja także lubię żartować i w wolnych od zajęcia lub od modlitw chwilach nie jestem od tego, by się nie rozweselić, ale jak mi umarł błazen Nagtiew, nie ma kto mnie pocieszać; a Drużynie, o ile mi się zdaje, rzemiosło to bardzo w smak idzie. Ja zaś obiecałem pamiętać o nim, i z tego powodu mianuję go pierwszym swoim błaznem. Podajcieno kaftan Nagtiewa i włóżcie na bojarzyna.

Twarz Iwana Wasiliewicza coraz silniej drgać zaczęła, głos jednak był spokojny, jak dawniej.

Jak piorunem rażony stał Morozow. Twarz mu zbladła, serce krwią się zalało, oczy zaświeciły złowrogo, a brwi, choć się z początku rozszerzały, teraz zmarszczyły tak groźnie, że nawet przy Iwanie Wasiliewiczu strasznym się wydał stary bojarzyn.

Nie wierzył oczom. Nie wierzył, żeby car miał go znieważyć wobec wszystkich biesiadników, jego, Morozowa, dawnego bojarzyna, którego zasługi i dawna sława były na całej Rusi znane.

Stał w milczeniu. Utkwił w Janie nieruchome, pytające spojrzenie, jakby czekał, że ten się opamięta i cofnie słowo. Ale Wasilij Griaznoj, na rozkaz cara, już podszedł do Drużyny Andrejewicza, trzymając w ręku pstry kaftan, pół-aksamitny — półsukienny, z mnóstwem łat, cacek i dzwoneczków.

— Ubierz się, bojarze — rzekł Griaznoj — wielki car zaszczyca cię tym kaftanem, z ramion byłego błazna Nagtiewa.

— Precz! — krzyknął Morozow i odepchnął Griaznego — nie śmiej bluźnierco tknąć bojara Morozowa! Psiarzami i chłopami twoi przodkowie byli u jego przodków! — I zwracając się do Jana, zawołał drżącym z oburzenia głosem:

— Carze, cofnij swe słowo! karaj mnie śmiercią! Głową moją możesz rozrządzać, ale nie czcią!

Iwan Wasiliewicz spojrzał na opryczników.

— Czyż nie prawdę mówiłem, że Drużyna lubi żartować? Słyszeliście? Ja nie mam prawa zaszczycać go kaftanem!

A Morozow mówił z uniesieniem:

— Carze! na Boga cię zaklinam, odmień sąd! Ciebie jeszcze nie było na świecie, gdym u nieboszczyka twego ojca był już w poszanowaniu! Któż razem z Habarem Stimskim rozbił Czuwaszów i Czeremisów na Świadze? Kto z kniaziami Odojewskim i Miłosławskim przepędził z Oki krymskiego carewicza i Moskwę od Tatarów uratował! Wiele ran otrzymałem i wiele krwi oddałem na służbie u twego ojca, carze, i u ciebie. Głowy swej nie szczędziłem ani na wojnie, ani w dumie bojarskiej. Gdyś był małoletnim, broniłem i ciebie i twą matkę, przez co mnie nienawidzili Bielscy i Szujscy. Z jednej tylko czci dumny byłem przez całe życie i nikomu jej skazić nie dałem! Więc ty znieważysz teraz moje siwe włosy! Więc ty zbezcześcisz sługę swego ojca! Nie carze! Każ mi głowę położyć pod topór, a z radością pójdę na męki, jak dawniej na bitwy chodziłem!

Wszyscy milczeli, wzruszeni ognistą mową Morozowa, gdy wśród ogólnej ciszy rozległ się głos Jana.

— Dość tego paplania! — rzekł groźnie car — twoje głupie słowa dowiodły, stary, że będziesz dobrym błaznem. Kładź kaftan!

— Wy zaś — zwrócił się potem Jan do opryczników — pomóżcie bojarowi, bo przywykł by mu usługiwano.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRZYŻ PRZY DRODZE.

(OPOWIADANIE PROBOSZCZA BAWARSKIEGO.)

(Dokończenie.)

— Nie rozpaczajcie gospodyni, — pocieszałem ją, jak mogłem, — Pan Bóg wszystko na dobre obróci.

— Tak, to prawda, Andrzeju, bo tu w sercu czuję, że już długo nie będę potrzebowała czekać, aż odpocznę na wieki. Przyrzeknij mi, Andrzeju, że nikomu słówka nie powiesz o tem, cośmy tu ze sobą mówili; jeżeli taka będzie wola Boża, to mię Pan Bóg zabierze do siebie zanim mordercę wykryją.

Dałem żądane przyrzeczenie. Nazajutrz był pogrzeb zamordowanego; grób jego znajduje się przy drzwiach cmentarza prowadzących na probostwo. Cała wieś była na pogrzebie, a ksiądz proboszcz bardzo wzruszająco przemówił. "Mamy tu," były jego słowa, "znowu przypadek takiej zbrodni, takiego straszliwego morderstwa, którego świadkiem było jedynie oko wszystko widzącego Boga. Ale przekleństwo Boże uczepi się pięty nieznajomego mordercy i ścigać go będzie tak, jak ścigało bratobójcę Kaina. Widzę was wszystkich do głębi wzruszonych, przerażonych tą zbrodnią; ale wyobraźcie sobie małżonkę nieszczęśliwego i jego dzieci. Daremnie wyczekują powrotu ojca, daremnie oczekują od niego wiadomości: — w tem nadchodzi pismo, a zamiast radosnej nowiny o jego powodzeniu, przynosi im wiadomość, że mąż, że ojciec został podstępnie zamordowany." — — —

Byłem też na pogrzebie i stałem tuż nad grobem; na te słowa serce mi się krajało! O śledztwie, któreby dziś zarządzono, nie było wcale mowy. Sędzia pokoju Lagass, który zamordowanego znał także, przyszedł zaraz gdy pierwszą wiadomość odebrał i poznał zamordowanego. Gdyby to był Niemiec, możeby ściślejsze zarządzono śledztwo; ale to był nieprzyjacielski oficer, który przyszedł przebrany do kraju, — kto wie, może był szpiegiem? Tak sobie rozumowano i na tem się sprawa skończyła.

Po południu miałem gospodarzowi parę wołów przyprowadzić do Rumbach, bo wtenczas o bitych drogach nie było u nas mowy. Leśne drożyny tylko wiodły przez góry, a kto tędy przejeżdżał, musiał dla woza, choćby tylko do połowy naładowanego, mieć przyprząż. W drodze myślałem sobie: co też powie gospodarz, gdy odemnie usłyszy, co się stało?

Czekałem już w Rumbach przeszło godzinę; wreszcie nadjechał.

— Czy już dawno tu czekasz, Andrzeju?—zapytał.

— Przeszło godzinę.

Spojrzał na mnie i zdawało się, że poznał moje zaambsrasowanie, bo nie wiedziałem, od czego zacząć, aby mu tę okropną powiedzieć nowinę.

— Cóż to? Wyglądasz mi, jakbyś był przerażony, — rzekł, — czy się co w domu stało?

— Tak jest! Ow francuski oficer, który przedwczoraj potajemnie do was przyszedł, został zamordowany. Trupa znaleziono niedaleko wsi przy skale.

— I to cię tak bardzo przeraziło? — rzekł obojętnie. — Cóż nam do niego? Ha, to niezawodnie piękny we wsi był rejwach?

— To prawda.

— Rad jestem, że nie byłem w domu. Czy już pochowany?

— Dziś z rana.

— Więc niech sobie spoczywa; a teraz zaprzągaj abyśmy przed nocą byli w domu.

Czy gospodarz był niewinny? Obojętność jego wprawiała mię w zadziwienie; byłem jeszcze zanadto młody i niedoświadczony, abym go mógł przeniknąć. I cóżbym ja był dał za to, aby był niewinny, tylko ze względu na biedną jego żonę! Wspomnie-

nie na nią niezawodnie też do tego się przyczyniło; dosyć, że gdy się do wsi zbliżyliśmy, był mój sąd już tak zachwiany, że więcej się skłaniałem do uważania go za niewinnego, jak za winnego, i tylko pragnąłem pomówić z gospodynią, zanimby się widziała z mężem. Ale to się nie stało.

Co oni ze sobą mówili i czy o tej sprawie w ogóle była mowa, tego nigdy dowiedzieć się nie mogłem, bo w tydzień później złożyliśmy gospodynią obok zamordowanego do grobu. Wskutek doznanych wzruszeń strawiła ją gwałtowna gorączka.

Żeby mię po Bożem Narodzeniu sto razy powiększone zesługi nie były zatrzymały u gospodarza, domyślić się nie trudno; nietylko dla tej historyi z owym Francuzem, ale i dla innych rzeczy. Od czasu śmierci swej żony nie należał już gospodarz do tych pijaków, którzy się raz poraz przy nadarzonej sposobności upijają, lecz codziennie z rana już o godzinie ósmej tak był pijanym, że wstyd było przed każdym człowiekiem, który przychodził do domu. Na tem naturalnie cierpiało całe gospodarstwo. Młynarzowa zagrabiała wszystko, co jej się spodobało, a biedna rodzina służącej codziennie przychodziła do domu i żywiła się kosztem gospodarza. Jegomość to wie, jak się dzieje, gdy służba może robić, co jej się podoba.

We wsi gadano rozmaicie, co było powodem śmierci gospodyni i co ona we febrycznej gorączce wygadywała. Historya o pozostawionej u gospodarza kassie wojskowej także niektórym była znaną, a ja w bezustannej byłem obawie, aby się sprawa nie wydała. Na szczęście cesarscy żołnierze ze wsi wyruszyli, a na ich miejsce przyszli inni, którzy o niczem nie wiedzieli.

Byłem już może około sześć tygodni w domu, gdy gospodarz razu pewnego przyszedł do nas i prosił mię, abym mu w lesie nabił wóz drzewa, co mu też uczynić przyobiecałem.

Nie było to wówczas trudnem zadaniem, bo drzewa wtenczas było można mieć wszędzie i tyle, ile tylko człowiek chciał. Ponieważ jednakże drzewo potrzebne było do pieczenia, dla tego musiało być sosnowe, a to było najlepsze za długą doliną na górze. Tam nabiłem kilka tęgich sosen, obciąłem je z gałęzi i wieczorem poszedłem do oberzy z zawiadomieniem, że nazajutrz z rana gospodarz po drzewo może przyjechać. Dzisiejszej drogi tamdotąd jeszcze nie było, ale trzeba było tu dokoła objeżdżać. Nazajutrz z rana zaprzągłem konie, bo gospodarz nie mógł innego otrzymać parobka, i pojechałem w góry naokoło, podczas gdy gospodarz przez wieś tamdotąd prostą poszedł drogą. Gdy wóz naładowaliśmy, chciał on znowu tą samą krótszą drogą powrócić do domu; tymczasem wskutek odwilży droga była tak niegodziwa, że nie dowierzałem sobie, czy sam będę mógł przeprowadzić wóz ciężko naładowany, dla tego gospodarz przy mnie musiał pozostać.

Poszło nam lepiej, jak się spodziewałem, aż dojechaliśmy stad około dwadzieścia kroków. Dawniejsza droga przeprowadzoną była tu przez małe wzgórze, jak to dziś jeszcze oto widać. Nadto droga była wązka, a tu i ówdzie leżały na niej wielkie odłamy skał, tak że z wielką ostrożnością trzeba było przejeżdżać. Na samym środku wzgórza leżał także wielki odłam skały.

Gospodarz sam powoził, a ja szedłem po prawej stronie woza, aby mu powiedzieć, kiedy miał wymijać. Już wóz przejechał około tej skały, gdy wierzchołki sosen, spuszczające się w tyle z woza, zawadziły o skałę, a łańcuch, którym pnie były związane z łoskotem się przerwał. Sosny z obydwóch stron zesunęły się z woza, a jedna z nich — zdaje się — uderzyła gospodarza, bo od razu straciłem go z oczu. Gdy przyszedłem na drugą stronę woza, ujrzałem go leżącego pomiędzy odłamami skały, a ziemia naokoło krwią była obryzgana.

— Boże miłosierny! — zawołałem przybiegając do niego. — Gospodarzu, czy jesteście skaleczeni?

On nic nie odpowiedział, a ja z przerażeniem spostrzegłem, że miał zgruchotaną czaszkę.

Naturalnie, że w tym momencie ani na myśl mi nie przyszedł zamordowany Francuz; potrzebowałem pomocy, a gdzie jej było szukać?

— Czy ci się łańcuch zerwał, Andrzeju? — zapytał mię naraz głos dziecięcy, a

podniosłszy głowę, poznałem zaraz owe dziecko z huty, które nam wówczas pierwsze przyniosło tę nowinę, że tu przy górze leży człowiek podle drogi.

— Na Boga, Gertrudko, patrz!—zawołałem. — Nasz gospodarz głowę sobie rozbił i już nie żyje.

Dziecko przystąpiło bliżej.

— Widzisz, — zauważyło, — tu, na tem samem leżał też przed pół rokiem ten człowiek, którego ktoś zamordował.

Co potem było dalej, to już nie ciekawe. W oberzy sprzedano wszystko na licytacyi. Helenę i Józefa oddano do młynarza, który ich później zabrał ze sobą do Ameryki. Na pamiątkę tego nieszczęścia, które tu spotkało ich ojca, kazali ten krzyż tu postawić, a ja im przy tem byłem pomocnym.

Czy ten krzyż przypomina tu tylko nieszczęście, czyli też sprawiedliwie karzącą rękę Bożą? Bóg to sam tylko może wiedzieć.

KONIEC.

LORENZO.

I.

W Rzymie, w stolicy świata chrześciańskiego, znajdują się pomiędzy najpyszniejszymi zabytkami sztuki budowniczej wszystkich wieków i najpiękniejszymi ruinami czasów starożytnych, domki skromne, prawieby można powiedzieć: chaty, zamieszkałe przez robotników, rybaków, ogrodników i żebraków: jestto osobliwsza mieszanina, jaką trudno napotkać w innem wielkiem mieście.

W jednej z takich skromnych chatek mieszkała wdowa Magdalena z dwoma synami. Mąż jej, rozumny i pracowity rękodzielnik, nie spoczął prędzej, dopóki nie zebrał dla swojej rodziny małego mająteczku, ale niestety, gdy doszedł do celu swych pragnień, śmierć go wyrwała z rodzinnego grona; ale pamięć jego drogą była żonie i synom, a matka synom zawsze jego przykład stawiała przed oczy, gdy ich do pracy zachęcała i cnoty.

Starszy syn, Scypion, który już ojcu w pracy musiał dopomagać, pilnie przestrzegał napomnień matki; rychło z rana wychodził z domu i przez cały dzień pracował w lejarni; wieczorem tylko, oraz niedziele i święta poświęcał matce, którą po Bogu najwięcej miłował. Młodszy syn, Juniusz, który się narodził wtenczas, gdy rodzina już w lepszych znajdowała się stosunkach, przyzwyczajony do lepszego życia, lubił przedewszystkiem zabawę, i to ku największej boleści matki i brata, w towarzystwie lekkomyślnych rówieśników. Magdalena była względem niego nieco słabą i dla tego chociaż nieraz gderała i szemrała, patrzała na to życie jego przez szpary; Scypion także napominał nieraz brata, ale jego słowa żadnego nie odnosiły skutku.

Pewnego zimowego wieczora siedziała Magdalena z Scypionem w domu, podczas gdy Juniusz był wyszedł, aby się zabawić.

— Niedobre dziecko! — szemrała Magdalena, — gdzie on się dziś znowu wałęsa? Niezawodnie bawi się w jakiej karczmie. Ach Boże, żeby mu się jeno nieszczęście jakie nie przytrafiło! On tak łatwo się gorączkuje, a potem zaraz się zapomina! Ja się bardzo obawiam, aby się kiedy źle z nim nie skończyło.

Scypion użył całej swej wymowy, aby starą matkę uspokoić, ale daremnie, dla tego oświadczył, że sam wyjdzie na miasto, aby brata odszukać i do domu go przyprowadzić.

— Jakiś ty dobry, mój Scypionie! — rzekła Magdalena nieco uspokojona. — Ty najchętniej pozostawasz ze mną i unikasz towarzystw; nie rozumiem tego, że Juniusz wcale do ciebie nie podobny! Obydwóch was z równą troskliwością wychowywałam, a mimo to tak się różnicie. Prawda, że mu zanadto pobłażałam, że zamiast go rychło przyzwyczaić do pracy, zanadto mu folgowałam: tak, tak, miłość ku niemu za-

ślepiała mię!

— Ej, matko, — pocieszał ją Scypion, — porzuć te smutne myśli! Zobaczysz, że niezadługo powrócę z Juniuszem.

To powiedziawszy wyszedł, ucierając ukradkiem łzy, które mu w oczach stanęły.

Jeszcze nie był o sto kroków oddalony od domu, gdy niewymowna trwoga ścisnęła serce wdowy, tak że głośnym wybuchła płaczem. Naraz usłyszała, jak się otworzyły drzwi, których Scypion według rzymskiego nie był zamknął, ale tylko przymknął, a do izby wpadł człowiek nieznajomy o dzikiem wejrzeniu, trzymający skrwawiony sztylet w dłoni. W pierwszej chwili pomyślała, że to jeden z tych licznych rabusi, którzy nawiedzali domy w odleglejszych stronach Rzymu; przerażona, bo nikogo nie miała na około siebie, już chciała uciekać, gdy nieznajomy przed nią padł na kolana i z wyrazem niewymownej trwogi zawołał:

— Na miłość Jezusa Chrystusa, dobra kobieto, ratuj mię nieszczęśliwego, bo mnie ściga policya!

Słysząc te słowa, które na pobożnej kobiecie zrobiły niemałe wrażenie, stała i nie z trwogą, ale z politowaniem patrzała na nieznajomego, który jeszcze wciąż klęczał.

— Policya cię ściga? — zapytała zdziwiona i z współczuciem. — Dla czego? Co znaczy ten sztylet, niezaschłą jeszcze krwią zbroczony?

— Ach, dobra kobieto! to właśnie moje nieszczęście; nie mogę powiedzieć, moja zbrodnia, — odparł nieznajomy podnosząc się zwolna.

— A jeśliś niewinny, dla czego przed policyą uciekasz?

— Bo pozór przeciwko mnie przemawia. Byłem zaczepiony, shańbiony, napadnięty i musiałem własnego bronić życia, dla tego pchnąłem napastnika sztyletem. Ach, dobra kobieto, jeżeli ty mi nie dopomożesz, będę musiał za niedobrowolną moją zbrodnię gorzko odpokutować!

Magdalena z razu nie wiedziała, na co się zdecydować. Wspomniała na nieprzyjemności, na jakie siebie i synów swoich mogła narazić, dawając schronienie mordercy; z drugiej strony wrodzona jej litość poruszała jej serce i ta ostatnia zwyciężyła.

— Gdyby mój syn, Juniusz, — mówiła sama do siebie, — w podobnem był położeniu, czyżbym nie błogosławiła tego, któryby go obronił od kary i hańby?

Potem zwracając się do nieznajomego wezwała go, aby poszedł za nią do ukrytej komory, gdzie będzie przed ścigającą go policyą bezpiecznym, bez wszelkiej obawy zdrady.

— Jeżeli istotnie jesteś niewinnym, — rzekła, wskazując na wielki krucyfiks stojący przy ścianie, — jeżeli prawdę powiedziałeś, na ten czas ten ukrzyżowany Zbawiciel niech cię obroni. Dla jego miłości chcę cię uratować i daję ci schronienie. Pozostań tu spokojnie tak długo, aż cię zawołam.

II.

Przeczucie nie zawiodło Magdaleny. W kilka minut po dopiero opisanej scenie usłyszała ponowną, głośniejszą wrzawę przed drzwiami. Jakież było jej przerażenie, gdy drzwi otworzono, a czterech mężczyzn na noszach wniosło do izby syna jej Juniusza, całego zbroczonego krwią, która z szerokiej wypływała rany. Ludziom, którzy zranionego nieśli, towarzyszyło kilku urzędników policyi, którzy ścigali mordercę, aby go zaprowadzić do więzienia.

Teraz nie mogła już Magdalena być w wątpliwości, kto był mordercą jej syna; nie umiejąc nad sobą zapanować, wpadła do tajnej komory, aby zbrodniarza oddać w ręce sprawiedliwości i w ten sposób Juniusza pomścić.

— Wyjdź tu, nędzniku, — tak zawołała, rzucając się ku niemu w najgwałtowniejszym gniewie, — wyjdź i przypatrz się, jak ofiara twoja kona! Wychodź, bo policya już czeka, aby ci zasłużoną wymierzyć karę. O mój Juniusz, mój Juniusz!

Ale nieznajomy klęczał blady, wzrok rozpaczliwy i ręce wzniósł ku krzyżowi i zatopiony był w modlitwie. Ten widok doprowadził ją zaraz do przytomności: okropną musiała stoczyć walkę wewnętrzną, bo z je-

dnei strony budziło się uczucie zemsty, a z drugiej strony wiara kazała jej przebaczyć; ona to sama oddała tego młodzieńca pod opiekę ukrzyżowanego Zbawiciela, a teraz wbrew swej wierze i przykazaniom miała gościa swego ze zemsty wydać oprawcom?

— Nie, — rzekła po chwili namysłu sama do siebie, — nie, tak nie. Zarzekał się, że tylko się bronił, a zatem nie jest winny. Jeżeli skłamał, to go kara Pana Boga nie minie; ale ja go nie zdradzę. Byłoby to doprawdy zbrodnią w oczach Bożych.

To powiedziawszy skropiła wodą twarz młodzieńca, który niezmierną przejęty boleścią klęczał zemdlały, a skoro tylko przyszedł do siebie, otworzyła okno mówiąc:

— To mój własny, któregoś ty zasztyletował. Mogłabym, a nawet możebym powinna oddać cię w ręce sprawiedliwości, ale ja sama oddałam cię pod opiekę miłosiernego Boga. Jestem wprawdzie matką, ale jestem też chrześcianką: matka domaga się zemsty, ale chrześcianka żąda dotrzymania obietnicy i każe przebaczać nieprzyjacielowi. Przez to okno, tu zaraz przy bluszczu, możesz wygodnie spuścić się na dół. A potem — no, niech się dzieje wola Boża, ja obowiązek swój spełniłam: niech cię N. Panna ma w swojej opiece!

Nieznajomy jednakże zamiast uciekać, padł na kolana przed tą bohaterską chrześcianką i odrzekł wśród rzewnego płaczu:

— Nie, szlachetna moja dobrodziejko, ja nie uciekam. Jeszcze raz tu przed obrazem Ukrzyżowanego zaręczam, że ja nie byłem napastnikiem; a jednakowoż, twój syn to był, przeciwko któremu się broniłem i któremu ten śmiertelny zadałem cios. Jeżeli jeszcze czas, natenczas pozwól mi, abym uczynił wszystko, co możliwe, aby go uratować. Nie odejdę z Rzymu; ja tu pozostanę dla twego syna i dla ciebie, bogobojna niewiasto, która mię ocalasz, zamiast mię zrobić nieszczęśliwym.

Po tych słowach zrzucił z siebie płaszcz, aby go tenże nie zdradził, przywdział czemprędzej kaftan robotnika, leżący na stołku, i potem spuścił się z okna w ogród, nie a- z Rzymu uciekać, ale aby się udać do najbliższego kościoła, gdzie w modlitwie spodziewał się odzyskać spokój i radę, co mu czynić wypada. Przebłagawszy Boga w gorącej modlitwie za swą niedobrowolną zbrodnię i pomodliwszy się wśród łez o ocalenie życia nieszczęśliwej swej ofiary, czuł, że mu wielki ciężar spadł z serca. Dobra mu przyszła do głowy myśl, którą też niezwłocznie wykonać postanowił. Znał on w Rzymie słynnego lekarza, który jemu samemu raz życie był uratował; do niego więc pobiegł czemprędzej i nakłonił go, że z nim natychmiast poszedł do domu wdowy.

Magdalena była już sama ze swoimi synami; ludzie obcy i policyanci byli odeszli, aby dalej szukać zbiegłego mordercę. Gdy Scypion usłyszał kołatanie do drzwi, pobiegł takowe otworzyć i wpuścił lekarza z nieznajomym młodzieńcem. Gdy Magdalena tego ostatniego ujrzała, nie dowierzała nasamprzód własnym oczom, ale następnie uczuła, jak gniew znowu z całą siłą wrzeć w niej poczynał.

— Nikczemniku! — zawołała drżącym głosem — i ty jeszcze tutaj? Czy przyszedłeś na to, aby się poić widokiem śmierci twej ofiary? Patrz — mówiła dalej zwracając się do Scypiona, — oto morderca brata twego Juniusza, on jego przeszył sztyletem!

Scypion nie posiadający się z gniewu, schwycił czemprędzej za nóż, aby go utopić w piersiach nieznajomego, który stał spokojnie i nie myślał bynajmniej się bronić, gdy lekarz w samą porę uchwycił go za rękę i nóż mu z niej wyrwał.

Aż dotąd Juniusz nic innego nie słyszał, prócz łkania matki i oczy miał zawarte; ale gdy usłyszał głośne krzyki i pogróżki, odwrócił nieco głowę. Natychmiast poznał swego przeciwnika, ale zamiast się na niego rozgniewać, zamiast mu złorzeczyć, podał mu spokojnie rękę. Wszyscy byli zdumieni na widok takiego przywitania i z zadziwieniem słuchali tych słów, który chory z trudnością tylko mógł wymówić:

— Dziękuję ci, nieznajomy bracie, że miałeś do mnie tyle zaufania, iż tudotąd przyszedłeś, abyśmy się pojednali i pożegnali. Matko, — dodał ustawającym już prawie głosem, — nie gniewaj się na niego, bo ja niesłusznie sobie postąpiłem i jego do gniewu spowodowałem; wino odebrało mi rozum.

To mówiąc, wyciągnął rękę do nieznajomego; ten nie mógł łez powstrzymać i odrzekł patrząc w niebo:

— Dzięki ci, szlachetna duszo; ale uspokój się. Przyprowadziłem tu jednego z najsławniejszych lekarzy włoskich, który mię kiedyś od śmierci ocalił; ja się spodziewam i o to Boga proszę, aby i ciebie wyleczył.

Teraz lekarz przystąpił do chorego. Nasamprzód nakazał największy spokój. potem badał ranę i ucho swe przykładał do jego piersi; liczył uderzenia pulsu i bacznie się w twarz jemu wpatrywał; ukończywszy to wszystko, zapisał potrzebne leki. W czasie tej czynności wszyscy obecni z niepokojem śledzili jego ruchy, a na twarzach ich czytać było można pytanie, co sądzi o stanie chorego. Zamiast długich objaśnień oświadczył lekarz krótko:

— Wszystko zależy od tego, jak będzie pielęgnowany.

Nieznajomy odetchnął swobodniej; Juniusz jeszcze nie był stracony. Magdalena zaś, której gniew od razu zniknął, uścisnęła tę rękę, która jej syna tak ciężko była zraniła.

Wreszcie lekarz oddalił się w towarzystwie nieznajomego; ten jednakże oświadczył, że niezadługo powróci, aby czuwać nad łożem chorego i pomódz w jego pielęgnowaniu, co też Magdalena po krótkim namyśle ostatecznie przyjęła.

III.

Od tego dnia uważano nieznajomego prawie za członka rodziny; codziennie on przybywał, aby się wywiadywać o stanie chorego, nieraz z matką i synem zasiadywał do stołu, a nawet kolejno czuwał nocami nad chorego łóżkiem.

I lekarz przybywał codziennie, a zawsze coraz więcej nadziei robił o wyzdrowieniu Juniusza; wreszcie po upływie miesiąca oświadczył, że pomoc jego jest już zbyteczna i wyzdrowienie zapewnione. Był to dzień radosny dla wszystkich, ale to nie było jeszcze dla nieznajomego hasłem, aby się oddalił.

— Matko, — rzekł dnia pewnego do Magdaleny, która go z czasem tak pokochała, że nawet przed własnemi synami dawała mu pierwszeństwo. — Matko, ja was jeszcze opuścić nie mogę. Wiesz teraz bardzo dobrze o tem, że w tej nieszczęsnej karczmie tylko się broniłem; ale ta cała historya z pewnością cię też przekona, że Juniusz ma nieszczęśliwe gorączkowe usposobienie i że to go znowu w podobne awantury znowu może wewikłać.

Zamiast odpowiedzi westchnęła Magdalena głęboko i głową dała znak przytakujący.

— Dobrze więc, matko, — mówił nieznajomy dalej, — Juniusz niezadługo będzie mógł znowu z domu wychodzić; uważam tedy, żeby mu bardzo potrzebny był przewodnik dobry i doradzca, prawda?

— Jakiś ty dobry, — odpowiedziała wdowa wzruszona do głębi; — choćbyś istotnie nam był krzywdę wyrządził, to w tysiączny sposób nam ją znowu wynagrodziłeś. To, co powiedziałeś, zgadza się też zupełnie z mojem życzeniem; ale skąd wziąć takiego dobrego przewodnika i doradzcę? Ja i Scypion wszystkich użyliśmy środków, ale wszystko niestety daremnie, dla tego obawiam się też, że i na przyszłość Juniusz nas słuchać nie będzie. Powiedz mi więc, któżby dla niego chciał być tym aniołem stróżem?

— Ja.

— Ty? — zawołała Magdalena zdziwiona. — Prawda, że sądząc z wszystkiego, czem jesteś i co dla nas uczyniłeś, największe mam zaufanie do ciebie, ale ja cię zresztą wcale nie znam i wiem tylko tyle, że się Lorenzo nazywasz. Jeśli się nie mylę to też z tak niskiego nie pochodzisz stanu, jak my: wnioskuję to z twych rąk, które widać nie są przyzwyczajone do ciężkiej pracy, a mianowicie z tego to sądzę, Lorenzo, że masz takie wzięcie, jakie w naszym stanie zupełnie jest nieznane. Ale mo to ufam tobie; powiedz mi tylko, jaki masz powód, że tak dla Juniusza chcesz się poświęcić?

— Czyżeś mi nie ocaliła życia? — odpowiedział Lorenzo z uczuciem; — czy nakazałaś milczenie gniewowi wtenczas, gdy

tylko jednego potrzeba było skinienia, ab [illegible] zrobić nieszczęśliwym? Czyż mię nie oddałaś pod opiekę naszego Zbawiciela? Patrz, ten nasz Mistrz i Nauczyciel, który ciebie nauczył, abyś mi odpuściła, on i odemnie żąda tego, abym Juniusza prędzej nie opuszczał, dopókądby nie został innym człowiekiem. Pójdę za Jego głosem. Powierz mi, dobra matko, z ufnością swego syna, a zobaczysz, że tego nie pożałujesz.

Słodką muzyką były te słowa dla serca Magdaleny. Ujęła rękę Lorenza swemi wychudłemi rękami i wlepiając swe oczy w jego szlachetne oblicze, rzekła z wzruszeniem:

— Dwóch miałam synów: jeden łagodny i dobry, drugi gwałtowny i zdziczały; a teraz trzech mam mieć synów i wszystkich równie dobrych i kochanych! O Boże, jakże jestem szczęśliwą!

Upłynęły dwa miesiące, Juniusz i Lorenzo najszczerszą zawarli przyjaźń: wszędzie byli oni razem, nigdy jednakże nie widywano ich w karczmie. Lorenzo dziwny wpływ wywarł na Juniuszu, tak że tenże zupełnie się przemienił: stał się pobożnym, łagodnym i pracowitym.

Pewnego dnia, gdy Lorenzo uważał, że zadanie swoje wypełnił, siedział sobie w gronie rodzinnem z Magdaleną i jej synami o zmroku w ich izdebce i oświadczył im, że niezadługo odjedzie z Rzymu do Florencyi.

— Do Florencyi? — zapytał Juniusz przerażony, — tak daleko? Więc nas, bracie, chcesz opuścić?

— Obowiązek mię woła, — odpowiedział Lorenzo z godnością, która wszystkich wprawiła w zadumanie, — muszę jechać koniecznie. Ważne tam czekają mię obowiązki, a nie mogę i nie wolno mi czekać. Ale pozwólcie mi, że jednę wam przedstawię prośbę?

— Prośba twoja dla nas jest rozkazem, zawołali wszyscy jakoby jednemi usty, — ś był dla nas taki dobry, jakżebyśmy ci mogli czegoś odmówić? I cóż to takiego?

— Tylko się nie wystraszcie, bo to, czego żądam od was nie jest dla was zbyt trudnem, a dla mnie niesłychanie to drogie: aż do dnia dzisiejszego byłem zawsze ważnym gościem, więc sprawcie mi tę przyjemność i bądźcie też raz moimi gośćmi!

— Twoimi gośćmi? — zaśmiał się Juniusz. Tyle razy chodziłem z tobą, ale nigdy mi nie pokazałeś swojego mieszkania. A gdzie ty mieszkasz?

— No, gdy mię będziecie mieli odwiedzić, przyślę już po was takich, którzy was zaprowadzą.

— A kiedy się ma odbyć ta wielka uczta? — zapytał Juniusz w wesołem usposobieniu?

— Pojutrze, w uroczystość Bożego Ciała. Ten piękny dzień powinniśmy przepędzić razem, prawda?

— Zgoda! — zawołali bracia, klescząc w ręce.

— Ale mateczka także przybędzie? — zapytał Lorenzo.

— Za starą jestem i trudno mi chodzić, — odpowiedziała matka — mnie pozostawcie w domu.

— No dla mnie możesz zrobić wyjątek, ja po ciebie, mateczko, przyślę powóz.

— Co powóz? — zawołał Juniusz głośnym wybuchając śmiechem. Skąd tobie takie zbytki?

— Raz można sobie pozwolić, — odpowiedział Lorenzo śmiejąc się także. — A więc zgoda, pojutrze będziecie moimi gośćmi!

IV.

Boże Ciało w Rzymie wielką jest uroczystością: całe miasto w wesołym jest nastroju na myśl, że Pan świata całego przechodzić będzie przez jego ulice. Od najrychlejszego poranka tysiące rąk się krzątają, aby Panu nad Pany świetny zgotować tryumf.

Około dziewiątej godziny z rana przepyszna kareta zajechała przed skromny domek Magdaleny. Służący w bogatą przybrany liberyą wszedł do izby i zaprosił matkę i synów wśród niskich pokłonów, aby miejsce zajęli w karecie. Poczciwa staruszka, nie zwyczajna czegoś podobnego, poczęła się trwożyć i drżeć, i zapytała bojaźliwie, czy nie ma jej syna Lorenza. Służący odpowiedział z uśmiechem, że tenże oczekuje ich w swoim domu.

Po kilku minutach zatrzymał się powóz

przed wspaniałym pałacem, przed którym już Lorenzo miłych swoich gości oczekiwał.

— To pięknie, żeście tak wcześnie przybyli, — powitał ich serdecznie, — tu stąd najlepiej widzieć będziemy processyą, a potem przez cały dzień wspólnie się zabawimy. Wszakże o tem wiesz, mateczko, że dziś pracować nie wolno.

Magdalena przeraziła się niemal tem przyjęciem i tą wytwornością, która w całym pałacu panowała. Lorenzo prowadził ją i synów jej przez długi szereg wspaniałych komnat, z widokiem na rzekę Tybr; kobiecina nie śmiała ani oddychać.

Juniusz odezwał się pierwszy:

— Bracie, — rzekł nieśmiało, — wielką sprawiłeś nam niespodziankę. U kogo właściwie jesteśmy?

— U mnie, — odrzekł Lorenzo krótko.

— U ciebie? U was? A kto ty — nie, kto wy jesteście? — zawołał Juniusz drżąc cały, a oblicze jego głębokim się pokryło rumieńcem. — Nic z tego nie rozumiem, Lorenzo — nie — wielmożny panie — kto ty — wy — biedny chłopak tak się zmieszał, że nie wiedział, co powiedzieć.

— Odpowiedź bardzo prosta, — odpowiedział Lorenzo. — Dotychczas oznajmiłem wam tylko połowę mojego nazwiska; druga połowa wytłumaczy wam wszystko: nie nazywam się tylko Lorenzo, ale Lorenzo, wielki Książę Medycejski.

— Lorenzo di Medici? — zawołali obaj bracia przelęknieni. — Ależ ta kłótnia w karczmie? Te noce przepędzone nad łożem Juniusza? Ta bezustanna nad nim opieka? Czyż to wszystko snem tylko było?

— O nie, to była rzeczywistość; wytłomaczę to wam w kilku słowach. Przybyłem z Florencyi do Rzymu, aby odkupić ten oto pałac, który kiedyś mej rodziny był własnością. Wtem ogarnęła mię dnia pewnego ciekawość poznania obyczajów tego miasta w najdrobniejszych szczegółach. W tym celu chodziłem przebrany wszędzie, w miejsca publiczne, na teatra i wszelkie festyny ludowe. Nie zadowolony z tego chodziłem nawet do knajp, gdzie chciałem robić spostrzeżenia nad klasą roboczą; ale drogo tę ciekawość przypłaciłem. Prawdopodobnie zanadto zdradzał się we mnie dostojny książę dla tego chciał mię Juniusz poskromić; a tego nie zniosłem i robiłem mu wymówki od słowa do słowa przyszło ostatecznie do tego, że Juniusz na mnie się rzucił i zaczął mię pięścią okładać, skutkiem czego ja mu sztylet wpakowałem pod żebra. W jednej chwili poznałem, jaką popełniłem zbrodnię! Nie obawiałem się rusztowania, bo jako książę byłem w tej mierze bezpiecznym, ale obawiałem się hańby, któraby spadła na moją rodzinę. U stóp krzyża poznałem dokładnie moją nieroztropność i mój występek. Szlachetność matki waszej przemówiła mi do serca i była dla mnie napomnieniem, abym koniecznie naprawił złe, które popełniłem; czy mi się udało? Oto wszystko moi przyjaciele, co wam miałem powiedzieć. Jeżeli mi przebaczyliście natenczas jestem zadowolony.

Zaledwie Lorenzo skończył, wszyscy trzej padli na kolana, ale on ich podniósł natychmiast.

— Tak nie, — rzekł serdecznie, — kochaliśmy się tak długo, kochajmy się i nadal. Być może, że niejedno dobre wyświadczyłem Juniuszowi, ale czyż ja wam daleko więcej nie zawdzięczam? Wyście mnie nauczyli, że prawdziwe szczęście tego życia nie polega na bogactwie i dostojeństwach, ale we wierze, w dobroci serca, w prostocie i w darowaniu krzywd i uraz.

KONIEC.

OBRAZEK Z WIĘZIENIA.

(WSPOMNIENIE FRANCUZKIEGO KAPELANA WOJSKOWEGO).

Zeszłej zimy otrzymałem list od pewnego młodego żołnierza, którego przed wstąpieniem jego do wojska bardzo dobrze znałem, ale od kilku lat zupełnie z óczu straciłem. Pisał mi, że jest we więzieniu, że niezadługo będzie stawiony przed sąd wojenny i prosił mię, abym go odwiedził i w smutku go pocieszył. Z chęcią spełniłem jego prośbę i następnej niedzieli około południa udałem się do bióra, aby odzyskać pozwolenie do odwiedzenia więźnia.

Sala, w której rodzice, krewni i przyjaciele uwięzionych oczekiwali kart legitymacyjnych do zwiedzenia więzienia, już p

wa była napełnioną, gdy się zjawiłem. U-siadłem na jednej z prostych drewnianych ław, które naokoło gołych, posępnych ścian były ustawione i przyglądałem się zebranemu towarzystwu. Było tam wielu mężczyzn i niewiast z dziećmi i kilku żołnierzy. Pomiędzy nimi zauważyłem młodą niewiastę, która mi nadzwyczaj podpadła. Była ona bardzo skromnie ubraną; na głowie miała czysty biały czepeczek, który nawet z góry twarz jej zasłaniał. Pomimo płaszcza, którym była otulona, zauważyłem, że w poważnym była stanie. W jednej ręce trzymała różaniec, w drugiej chustkę, którą często do ócz zbliżała, aby skrycie łzę otrzeć; oczy jej mocno były zaczerwienione — widać, że dużo płakała. W całej jej postaci było tyle skromności, smutku i rezygnacyi, że mocno wzruszony, postanowiłem do niej się zbliżyć i wlać jej do serca pociechę, którą religia tylko sama dać może. Zaniechałem jednakże tego zamiaru ze względu na otoczenie i tylko na tem się ograniczyłem, że w cichości się modliłem za tę nieszczęśliwą, która ciężką widocznie boleść z taką chrześciańską znosiła rezygnacyą.

Wreszcie i na mnie przyszła kolej; odebrałem kartę i poszedłem wprost do więzienia. Otwarły się ciężkie żelazne drzwi, a dyżurny wskazał mi salę, w której z więźniami można było pomówić. Była to sala ponura, na której widok już się serce ściskało. Wysokie czarne mury, kilka starych, drewnianych stołów, otoczonych wązkiemi ławkami, na których więźniowie i odwiedzający ich goście zająć mogą miejsce; małe okienko, przez które tylko słabe światło dzienne przez zanieczyszczone szyby, za grubemi żelaznemi kratami się przeciskało; — w tem miejscu oczekiwałem mego więźnia. Po kilku minutach pojawił się tenże, podał mi zasmucony rękę i dziękował mi za te odwiedziny w tem strasznem mieszkaniu nieszczęśliwych więźniów. Następnie wyznał mi otwarcie całe swoje przewinienie i nie taił bynajmniej, jakiej ciężkiej za takowe spodziewał się kary.

Ciężką popełnił on zbrodnię; przeniewierzył on powierzone sobie pieniądze, aby je obrócić na rozmaite nieporządne zabawy, czyli raczej aby pójść w ślady złych przyjaciół, którzy go do hulackiego uwodzili życia, a uczynił to więcej z lekkomyślności, jak ze skłonności do złego. Spodziewał się, że ci, którzy go uwiedli i do nieszczęścia przyprowadzili, dopomogą mu także do zwrócenia pieniędzy, ale stało się, jak to zwykle bywa, że gdy się kieszeń wypróżniła, znikli fałszywi przyjaciele, a on jako zbrodniarz sprawiedliwej podpaść musiał karze.

Boleść nieszczęśliwego, który szczęście swego życia w tak nędzny sposób zwichnął, przeświadczenie o winie swej i skrucha, tak były głębokie i rzetelne, że nie mogłem mu żadnego uczynić zarzutu i tylko starałem się go pocieszyć. Słowa moja zdawały się przenikać mu do serca: Nieszczęście otwiera serca Bogu.

— Ach, rzekł do mnie, — gdybym dawniej do ciebie księże udawał się po radę, gdybym się nie był powodował fałszywym wstydem, z pewnością nie byłbym się dopuścił takiej winy i nie byłbym dziś na tem miejscu, na którem się znajduję!

Podczas gdy rozmawialiśmy z cicha w odległym kąciku, spostrzegłem wchodzącą do sali ową młodą niewiastę, która już w przedpokoju uwagę moją na siebie była już zwróciła. Nieśmiało, ze spuszczonemi oczyma przeszła przez salę i niedaleko nas usiadła w odległym kąciku. Niezadługo potem wszedł młody człowiek w mundurze artylerzysty; szukał oczyma pomiędzy obecnymi w sali, a ujrzawszy młodą niewiastę, pobiegł ku niej i wśród głośnego płaczu rzucił się w jej objęcia — — potem złożył swe ręce w jej dłoni i w niemej rozpaczy oparł czoło o zimne cegły ściany. Patrzałem na niego z wzruszeniem; troska jego straszną mu sprawiać musiała boleść.

— Czy się ksiądz przyglądasz temu żołnierzowi? — zapytał mię mój towarzysz z cicha. — Ach, i on jest ofiarą pijaństwa, jak my wszyscy prawie, którzy tu w tem więzieniu jesteśmy. Ja jestem bardzo nieszczęśliwym, ale on stokroć nieszczęśliwszym odemnie, gdybym ja jemu mógł wyświadczyć jaką przysługę, uczyniłbym to z całego serca.

— Czy go znasz? — zapytałem zaciekawiony.

— Nie znałem go, zanim go uwięziono; jest tu dopiero od kilku dni, a boleść jego taka jest okropna, że zapomniałem o sobie, a jemu wciąż towarzyszyłem, aby go wedle możności pocieszać. Ale niczego nie dokazałem, bo tylko w rozpaczliwem pogrążony był milczeniu. Dowiedziałem się tylko od niego, że w pijanym stanie rzucił się na swego przełożonego i że wyrok sądu wojennego na ciężką go skaże karę. Mówią, że że jest żonatym; — owa niewiasta więc niezawodnie jest jego żoną.

— I niezadługo zostanie matką; nieszczęśliwi ludzie, — pomyślałem sobie i przypatrywałem się im z większym jeszcze zajęciem. Młody żołnierz wkrótce się uspokoił i z cicha z żoną swoją rozmawiał. Zauważyłem, że z rozrzewnieniem błagał o przebaczenie, które mu też wśród łez udzieliła. Łatwo można było odgadnąć, że się oboje od uwięzienia jego po raz pierwszy widzieli. Tymczasem sala się zwolna wypróżniła, a ja pozostałem sam ze swoim przyjacielem i owem małżeństwem.

— Oboje, — rzekł do mnie towarzysz, — często na ciebie, księże, spoglądają, uważają widocznie, że masz dla nich współczucie; może im jaką przysługę wyświadczysz zdołasz. Pociesz ich, księże, bo w takiem nieszczęściu słowo pociechy nieocenionym dla duszy jest balsamem. Pamiętaj też o mnie w modlitwach swoich i nie skąp mi w mem położeniu pociechy.

Uściskałem skruszonego grzesznika i zbliżyłem się do zasmuconej pary, która istotnie mnie oczekiwała i wzrokiem swoim zdawała się mnie wzywać.

— Jesteś nieszczęśliwym, młody przyjacielu, — rzekłem ujmując żołnierza za rękę; — czy mógłbym coś dla ciebie uczynić?

On nic nie odpowiedział, tylko twarz swą odwrócił, aby ukryć łzy, które mu z ócz wytrysnęły; ale nie cofnął swej ręki, którą serdecznie ściskałem.

— Ach, księże kapelanie, — odezwała się żona, — Bóg sam tylko dla nas coś uczynić może. Na Nim tylko jeszcze polega nasza nadzieja. Módl się razem z nami, aby nas nie opuścił!

— Bóg nigdy nie opuszcza tych, którzy w miłosierdziu Jego ufność pokładają, — odpowiedziałem, — a jeżeli się zdawało, jakoby cię na chwilę opuścił, — dodałem zwracając się do żołnierza, — to chyba zapomniałeś Go prosić i oddać Mu to, coś powinien.

— Tak jest, — rzekł spuszczając smutnie głowę, — wielka jest moja wina i słusznie karę poniosę; złamałem przyrzeczenie dane Bogu i mojej małżonce, że nigdy się nie upiję i to pijaństwo samo ruinuje mnie tak samo, jak wielu innych.

— Księże, — dodał po chwili podnosząc głowę, — okazujesz nam współczucie; jesteś kapłanem, a ja, śmiało to mogę wypowiedzieć, pomimo mojego przewinienia jestem w sercu dobrym chrześcijaninem. Opowiem w kilku słowach historyą mojego nieszczęścia, a sam potem zobaczysz, czy będzie ci wolno i zdołasz coś dla nas uczynić. Gdybym był samotnym, zniósłbym bez szemrania smutne moje położenie, które sam zawiniłem, ale moja niewinna małżonka! Dla niej tylko pragnąłbym łaski i dla niej tylko proszę o litość; bo jakabądź kara mię spotka, ona więcej cierpieć będzie odemnie.

Otarł oczy i mówił dalej, powoli się uspakając:

— Żona moja Józefa i ja pochodzimy z jednego rodzinnego gniazda, ze wsi **. Ach! gdybym tej wioski nigdy nie był opuścił! Domy rodziców naszych stały obok siebie, urodziliśmy się oboje tego samego roku i o tej samej prawie godzinie i wychowaliśmy się razem, szczęśliwi i swobodni, jak wiejska dziatwa. Dzieliliśmy ze sobą wszystko, radość i smutek, pracę i zabawę. W jednym i tym samym dniu przystąpiliśmy razem do pierwszej Komunii świętej i od tego dnia myślały już matki nasze o tem, że z nas kiedyś będzie dobrana para. I my uważaliśmy siebie zawsze jako narzeczonych, chociaż nigdy o tem słówka nie mówiliśmy.

— Miałem tylko jednego, o kilka lat starszego brata; opuścił on dawniej dom rodzicielski i był stolarzem; ja więc byłem jakoby jedynakiem. Obrałem zawód ojcowski, który jako ogrodnik uprawiał kilka mórg ziemi i owoce i jarzyny sprzedawał na targach w mieście. Lubiłem pracę w polu, ta wzmacnia ciało a nie gnębi ducha i utrzymuje człowieka na świeżem powietrzu i szy widokiem pięknego nieba. Jakże więc tu w tym lochu cierpieć muszę! Z początku wszystko szło dobrze: ojciec dzielnym był pracownikiem, a ja mu wiernie pomagałem. Józia dopomagała matce w gospodarstwie domowem i nauczyła się delikatnego szycia. Co wieczór byliśmy razem w naszym lub jej domu.

(Dokończenie nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GORALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Bartłomiej.

Teras wy, idźcie do chaty,
A ja pójdę dla Basi prosić gości w swaty,
Słuchajcies nie potseba tego ludziom bajać.

SPRAWA VIII.

POZOSTALI.

Stach.

Wielki z Wacpana figlas.

Dorota.

To dowcipna stuka.

Bardos.

Jest to dla was Doroto, maleńka nauka,
Nie psójcie córce sczęścia.

Dorota.

Jus nigdy o Stachu
Nie pomyślę, ledwom ci nie zdechła od strachu,
Nie gniewajze się Basiu.

Basia.

Łatwo wam psebace,
Bom się o moim Stachu wiernie psekonała.
On nie wiedział Matulu, żem ja tam siedziała,
Bo tam sam Pan mię schował, oj ślicne kołace
Na mleku Jegomości na drogę upiekę.

Dorota.

A ja jus zdradzać męza, wiecnie się wyzekę.

SPRAWA IX. I OSTATNIA.

Wszyscy.

Bartłomiej.

Prosiemy na śniadanie.

Bryndus.

Z ochotą.

Morgal.

Z ochotą.

Bartłomiej.

Jutro wesele wase, a teras Doroto
Bądź nam rada.

Bardos.

Nim jeszcze siądziemy do stołu,
Wprzód sobie zanucimy piosneczki pospołu.

Miechodmuch.

A ja, podjadłszy szobie, jak się taniecz zacznie,
Z pomiędzy wasz do karcmy, wymknę się nieznacnie
Rozrywkę niespodzianą zrobię dla Bryndusza,
Ubierę się, jak zwycaj u nas za Bachusza,
I na beczce przyjadę do wasz.

Wszyscy.

Zgoda, zgoda.

Bardos.

Niech tu dziś będzie sama roskosz i swoboda.

Stach.

A ja, za to,ześ Waspan był dla mnie łaskawy,
Zawiozę swemi końmi do samej Warsawy.

Bardos.

A ja cobym tam robił? Jest tam i bezemnie,
Wielu takich, co żyją tylko z kałamarza.
Lecz im się często, chłodno i głodno być zdarza.
Wolę pracować w roli, niż żebrać nikczemnie,
Tu sobie gdzie na gruncie osiędę w Mogile.

Wawrzeniec.

My Waspanu złozemy, na początek, tyle,
Ze będziesz gospodazem.

Bardos

Dziękuję. — Robotę
Skończyłem, poprawiłem w słabości Dorotę,
Oszczędziłem krwi ludzkiej, zawziętych zgodziłem,
Jeśli jeszcze was przytem trochę zabawiłem,
Wszystkie moje żądania już są dopełnione.

ŚPIEWKI.

Bartłomiej.

Zadko teras znaleść zonę,
By była poćciwą,
Chocias człowiek kocha onę
Jednak podejzliwą,
A najbardziej kiedy stary
Młodą se dobieze,
Wkrótce pójść musi na mary
Lub rogi psybieze.

Dorota.

Gdy dziewcyno w młodym wieku,
Swawolną się cujes,
Nie ślubuj staremu cłeku,
Bo wnet pozałujes,
A jezeli z dobrej woli
Jus się z nim połącys,
Nie sukaj obcej swawoli,
Bo źle zawse skońcys.

Stach.

Wy chłopaki, cudzej zony,
Nie psujta nikomu,
Bo z tej mody zarazonej
Tylko bieda w domu,
Tak się teras w stadłach psują
Zony i męzowie,
Ze ich dzieci nie zgadują,
Któzy ich ojcowie.

Basia.

Wanda lezy w nasej ziemi,
Co nie chciała Miemca,
Lepiej zawse zyć z swojemi,
Nis mieć cudzoziemca.
Gdzie się bardziej obcy ziomek,
Nis rodak podoba,
Biedny bywa taki domek,
Traci się chudoba.

Bryndus.

Nie pogardzaj ubogimi,
Choć jesteś bogaty,
Bo nie cynią nas wielkimi
Klejnoty i saty
Nie wydzieraj co cudzego,
Sanuj wsystkie stany,
Poznaj w cłeku brata swego,
A będzies kochany.

Morgal.

Nie wiez nigdy Siarletanom,
A sanuj mądrego,
Nie pomagaj Wielkim Panom
Ku biedzie bliźniego,
Bo, jak się casem nieuda,
Cnota weźmie górę,
Nie będąc to zadne cuda,
Ze ty weźmies w skórę,

Jonek.

Stsescie wionków swych dziewczęta,
Mawiała ma ciotka,
Bo w miłości jest ponęta,
Zdradliwa choć słodka.
Dawniej chodził ślub na gody
Pses cierniste pole,
Teras idzie bes pseskody,
Ani się zakole.

Bardos.

Wy uczeni, którzy wszędzie
Cierpicie dla cnoty;
Nie zawsze wam tak źle będzie,
Nie traćcie ochoty.
Służyć swej ojczyźnie miło
Choćby i o głodzie,
Byle światło w ludziach było,
A sława w narodzie.

Miechodmuch.

Chuda fara, Organista ceka na Akcypę;
Rzadko terazby kto sprawił krzciny albo sztypę,
Ciężko dzisiaj Boze odpuść być kościelnym sługą
Mruczą ludzie, że im bieda a zyją dość długo.

Oddawajcie swe daniny,
Co komu należy,
Proboszczowi dziesięciny
Klesze na pacierze,
Organiście na przycynek
Jajec na Wielkanoc,
Parę kiełbasz, parę szynek,
A teras, dobra nocz.

CHÓR OGÓLNY.

Poczciwość, wierność, miłość i zgoda,
Niechaj pod naszym dachem panuje,
Niech u nas nigdy przewrotna moda
Głów nie zawraca i serc nie psuje,
Niech to świat pozna że gdzie prostota
Tam jeszcze szczera zostaje cnota.

(Wszyscy się biorą do tańca.)

Zasłona zapada.

KONIEC.